Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

R. VI 1 MAJ 1929 Nr. 9

WIADOMOŚCI KATOLICKIE

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY IDEOM I SPRAWOM KATOLICKIM

TREŚĆ:

KRAKÓW

DRUKARNIA „WIADOMOŚCI KATOLICKICH"

Następny numer
„Wiadomości Katolickich“
ukaże się dnia 1-go czerwca.

Konstytucja o liturgji i muzyce kościelnej.

Dwadzieścia pięć lat temu wydał Papież Pius X znane swe *Motu proprio* o muzyce kościelnej, w którem żądał, by powrócono do śpiewu gregorjańskiego. Obecny Ojciec św. Pius XI, powraca do tego samego tematu, wydając konstytucję apostolską *Divini Cultus*, która została ogłoszoną dnia 6 lutego b. r.

Jest rzeczą powszechnie znaną w kołach rzymskich, że Ojcu św. muzyka kościelna leży bardzo na sercu. Jednem z jego pierwszych dzieł, pisze *Schönere Zukunft*, które jeszcze jako zwykły kapłan przetłumaczył z języka niemieckiego na włoski, była rozprawa o dyrygowaniu muzyką kościelną. Gdy w pierwszym roku swego pontyfikatu obchodził w katedrze św. Piotra uroczyste nabożeństwo pontyfikalne, na którem potężny chór, złożony z kleryków wszelkich narodowości, śpiewał tylko hymny gregorjańskie, wspominał Papież kilkakrotnie o wielkiem wrażeniu, jakie wywarł na nim ten śpiew. Zaznacza on też wyraźnie w swojej nowej Konstytucji, jak śpiew ten wtedy nadał całej owej liturgicznej uroczystości wzniosły i majestatyczny charakter. Do ogłoszenia konstytucji przyczynił się bezpośrednio 25-letni jubileusz, który święcił w ubiegłym roku Motu proprio Piusa X o muzyce kościelnej dni Cecyljańskich 1903 roku, a także pamięć o zakonniku Gwidonie z Arezzo, który — blisko przed 900 laty ówczesnemu papieżowi Janowi XIX, w pałacu laterańskim przedstawił swój udoskonalony system linjowy — wynalazek, z którego jeszcze dziś najnowsza muzyka korzysta.

Nowa konstytucja chce budować dalej na Motu proprio Piusa X. Podkreśla ona jednak silniej kilka myśli, które tam były tylko naszkicowane, lub inaczej oświetlone. Należy do tego: 1) silne podkreślenie liturgji i udziału ludności w śpiewie liturgi-

cznym, 2) podniesienie estetyki w muzyce kościelnej, 3) jasne określenie stanowiska wobec gry na organach i przedewszystkiem wobec muzyki na instrumentach.

1. Liturgja podnosi nas, mówi Ojciec św., do Boga i łączy z Nim. Jest ona wyznaniem wiary i źródłem najbogatszych łask, których tak bardzo potrzebujemy. Stoi ona w najściślejszym związku z dogmatem katolickim i uświęceniem ludności, w której budzi i podtrzymuje ducha chrześcijańskiego. — Dlatego papieże rzymscy starali się usilnie, aby to źródło utrzymać zawsze w czystości i uchronić przed wszelkiemi wpływami światowemi. Przy wszystkich łaskach, których udziela liturgja, musi ludność chrześcijańska coraz głębiej być przejętą duchem liturgicznym. Liturgja jest, głosi dalej Konstytucja „actio sacra", czynnością świętą. Nie odnosi się to tylko do kapłana, ale i do ludności chrześcijańskiej. W dawnych czasach brała ona często i bardzo licznie udział w nabożeństwach liturgicznych i śpiewała w starych bazylikach razem z biskupami i duchowieństwem naprzemian na chwałę Bożą. Właśnie dlatego oddziaływał śpiew liturgiczny na dusze potężnie, uprzytamniał znaczenie dogmatu o obcowaniu świętych, doprowadził Augustyna do wiary i posiadał tak wielki wpływ, że heretycy zarzucali św. Ambrożemu, że zaczarował ludność Medjolanu śpiewem liturgicznym. Także i dziś winni wierni brać czynny udział w świętych tajemnicach i uroczystych nabożeństwach. Dlatego winien też chorał gregorjański stać się znowu śpiewem ludu. Wierni powinni „słuchać nabożeństwa nie jako obcy i milczący widzowie, ale przejęci pięknością liturgji, winni tworzyć chór, naprzemian z chórem kapłańskim lub szkołą śpiewacką. Jest to rzeczą konieczną — *pernecesse est*". Nie powinno także się zdarzać, by wierni przy głośnych modlitwach w liturgicznym czy narodowym języku, albo wcale nie odpowiadali, albo tylko coś szeptali. Dlatego, że muzyka liturgiczna stoi w tak ścisłym związku z dogmatem chrześcijańskim, winni biskupi starać się o to, by ludność kształciła się w muzyce i liturgji w szkołach, instytutach i w związkach, które poświęcają się pielęgnowaniu muzyki kościelnej.

Jakkolwiek tak bardzo zależy Ojcu św. na chorale gregorjańskim, to jednak nie zapoznaje on bynajmniej wielkiego znaczenia kościelnej polifonji. Dla jej rozwoju winny znowu — to jest jego gorącem życzeniem — powstać „Capellae musicorum",

które między XIV a XVI wiekiem były w pełnym rozkwicie. W tym celu winny zostać zorganizowane chóry chłopców, i to nietylko przy bazylikach i katedrach, ale także i przy małych kościołach parafjalnych. Często już znakomici kompozytorowie tam czerpali pierwsze swe natchnienie.

2. Ojciec św. zwraca szczególnie uwagę na wewnętrzną stronę muzyki, na jej estetykę. Czyta się o tem z wielką radością. Jego najgorętszem życzeniem jest, by promienne piękności wybranej sztuki znowu ożyły i by wraz z niemi budziły się wszędzie znowu religijne uczucia. Pamięta on o tych czasach średniowiecza, w których kościelny, a przedewszystkiem „zbiorowy śpiew, tworzył ze wszystkich obywateli miasta jeden wielki chór“, i wpływał również na kulturalne i artystyczne życie, a „rękodzielnikom, architektom, rzeźbiarzom i literatom udzielał zasadniczych wiadomości teologicznych, które dziś jeszcze przemawiają do nas z arcydzieł sztuki średniowiecznej“. Prawa liturgji nie stanowią przeszkody dla twórczego artysty, lecz raczej podnoszą jego sztukę ponad poziom codziennego życia, pogłębiają ją i napełniają światłem niebiańskiem. Gdy przepojona jest ona życiem, które wychodzi z Kościoła, przewyższa to wszystko, co świat może podać. Ojciec święty nie zapoznaje oczywiście, że tylko najszlachetniejsze i najpłomienniejsze dążenie może wznieść się na te wyżyny i pokonać wszelkie trudności, które prawdziwej sztuce stają na drodze. Spodziewa się jednak, że te trudności nie przygnębią, ale podniosą i zachęcą.

3. Nowa Konstytucja omawia znaczenie organów i muzyki instrumentalnej w Kościele. Niestety tracą organy swoją godność, przestając być wyłącznie instrumentem służby bożej w Kościele. Spotyka się organy na koncertach i w kinach. Nasuwają się tu specjalne niebezpieczeństwa, przed któremi winien się strzec się budowniczy organów, kompozytor na organy i grający na organach. Inaczej wtargnie duch świata do świątyni Pańskiej. Papież uznaje prawo postępu we wszystkiem co dotyczy organów, nawet pragnie tego postępu. Ale protestuje on także energicznie przeciwko temu, by za pośrednictwem organów przemycano do świątyń formy muzyki, które Kościół stanowczo musi potępić. Tylko gdy budowniczy organów i organista będą zupełnie przeniknięci świętością Kościoła, „rozkwitnie na nowo ich sztuka i będzie świętej liturgji skutecznie pomagać“.

Nowa Konstytucja Piusa XI musi niestety przyznać, że niejedno słuszne i gorące pragnienie papieża Piusa X, wyrażone w jego Motu proprio, odnośnie do muzyki kościelnej, nie zostało spełnione. Czyż tę nową Konstytucję spotka ten sam los? Ogłosił ją Ojciec św. przy otwarciu swego 50-letniego jubileuszu kapłańskiego. Przejęcie się życzeniami w niej wyrażonemi, będzie źródłem wielu łask dla dusz, będzie chwałą świętego Kościoła i przyczyni się do prawdziwego postępu muzycznej sztuki kościelnej.

SOCJALIZM BEZ MASKI.

W czasie Świąt Wielkanocnych niektóre większe socjalistyczne dzienniki wiedeńskie zamieściły swoje uwagi i wyznania wielkanocne. Uwagi przerażające, przepowiednie straszliwe! Nie jest to już utopja religijnego socjalizmu, jakiegoś pogodzenia Ewangelji z marksizmem; nie jest to już kłamstwo, że walka klasowa nie obciąża sumienia, i że religja jest rzeczą prywatną: przeciwnie, jest to wyznanie, że chrześcijaństwo i socjalizm nie dadzą się pogodzić, że socjalizm żąda zupełnego odstępstwa od wiary; że nic zupełnie nie zapełnia pustki, którą zostawia utracona wiara, że po usunięciu przykazań z Góry Synaj, choć potrzebne są jakieś przykazania, to jednak prowadzą one jedynie do błędu!

Przytaczamy wiernie niektóre zdania z „Arbeiter Zeitung“: „Gwałtowna ewolucja powojenna rozdzieliła i zniszczyła tyle rzeczy, że wstrząsnęła wieloma ludzmi, którzy wynieśli wrażenie, że niemożliwem jest obejść się bez religji. Nie rzadko słyszy się pytanie: „Co dacie ludziom na miejsce tego, co im odbieracie?“ Dziennik ów odpowiada: „Pierwszy i decydujący zysk dla jednostki rozpoczyna się z wolnością ruchów. W życiu współczesnem tradycje nie pomagają korzyściom osobistym, lecz je utrudniają. Dlatego lekceważy się przeszłość; dlatego wątpi się o wszystkiem. Wiara religijna nie przeżyła pracy myśli. Socjalizm nie zniszczył niczego; znalazł on świat już rozbity na kawałki; socjalizm tylko usunął ruiny. Socjalizm posiada silną podstawę i pragnie oprzeć swoje prawa moralne na rzeczywistości ziemskiej, a nie poza światem. On chce tego, co jest pożytecznem dla społeczeństwa, odtrąca to, co mu szkodzi. Możemy mylić się co do środków; błądzenie jest rzeczą ludzką, ale nasze prawa chcemy zbudować sami z siebie, bez uciekania się do pomocy różnych religij. Nie potrzebujemy żadnej wody chrztu, by zmazała nasze grzechy pierworodne; nie potrzebujemy żadnego zmartwychwstania, któreby wynagradzało życie tutaj przecierpiane! Cóż ofiaruje socjalizm wzamian za zniszczony świat wiary? Obowiązek, postulaty, perspektywy nowych wyżyn — nic innego!

Społeczeństwo potrzebuje praw i obowiązków; ale te dzisiejsze prawa nie pochodzą już z Synaju; nie potrzebują one żadnej sankcji boskiej, są święte same z siebie, jak świętymi są ludzie"!

Oto, co stawia się, w miejsce Świąt Wielkanocnych chrześcijańskich, w miejsce Zmartwychwstania Chrystusa i odkupionej ludzkości, przed wzrokiem niezmiernych rzesz ludności, oderwanej od nauki miłości i Krzyża, i przepojonej nienawiścią i chciwością; biedne rzesze bezsilnych i oszukanych!

Oto absolutna negacja Boga, nauki chrześcijańskiej, moralności chrześcijańskiej; zupełne skazanie ludzkości na nędzę ziemi, na pastwę błędów umysłu ludzkiego, i na prawa wymyślone przez grupę zarozumialców, „którzy — zaprzeczając wszelkiej mądrości boskiej i doświadczeniu wieków — nakazują to, co im samym jest wygodne, i szanują własne prawa o tyle, o ile mają zamiar szanować ludzi!

Byłby już czas, by wyznanie tak wyraźne, tak brutalne i straszliwe, rozproszyło mgły osłaniające socjalizm „religijny“, owo głoszenie „Ewangelji bardziej autentycznej niż ewangelja księży“, propagandę oszczerczą przeciwko Kościołowi, który „zdradza prawa Chrystusa"! Niema Boga, niema innego życia, jak ziemskie; niema chrztu, który zbawia; niema zmartwychwstania, które odkupia; są obowiązki, są wymagania, jest miraż jakichś nowych wyżyn i nic innego!

Oby to dobrze zapamiętali nasi kapłani, nasi nauczyciele, nasi studenci i propagandziści, oby przedstawili ludowi socjalizm bez maski, ogarnie tę ludność zbawienne przerażenie.

Osservatore Romano.

WIELKOŚĆ MATKI BOŻEJ.

Gdy Ojcowie Kościoła mówią nam o Marji, wydaje się, jakoby nie potrafili znaleźć dość słów, by nam podać pojęcie o jej wielkości i wspaniałości, o jej znaczeniu u Boga i o jej dobroci dla sprawiedliwych i niesprawiedliwych dzieci Adama. Nazywają ją oni pośredniczką u boskiego Pośrednika, skarbniczką boskiego miłosierdzia, matką łaski i litości, ucieczką i jedyną nadzieją grzeszników. Sw. German nazywa Marję rozdawczynią wszelkich dóbr, wybawicielką z naszej nędzy, św. Efrem szczęściem i zbawieniem wszystkich chrześcijan, kotwicą ludzkich nadziei, opiekunką opuszczonych i nadzieją tych, którzy stracili nadzieję. Sw. Augustyn czci ją jako świątynię miłosierdzia bożego, św. Bonawentura jako zbawienie i ratunek świata i jako dolinę błogo-

sławieństwa. Św. Wawrzyniec Justiniani sławi ją jako pociechę w naszej pielgrzymce ziemskiej, św. Jan Damasceński jako niewyczerpane morze łask i jedyną osłodę wszystkich naszych trudów Św. Tomasz z Akwinu wskazuje na nią jako na pomoc we wszystkich niebezpieczeństwach i skarbiec wszystkich łask boskich, przez którą i od której świat i człowiek wszelkie dobro posiada; św. Tomasz z Villanowa twierdzi, że nawet sami święci ewangeliści nie byli w możności opisać jej godności i jej przymiotów w odpowiedni sposób, dlatego użyli tylko prostych słów, które jednak wszystko wyrażają: „Marja, z której narodził się Jezus". Inni święci nauczyciele wielbią ją jako koronę i szczyt wszelkich wielkich dzieł natury, łaski i chwały, a św. Bernard z Clairvaux widzi w niej centrum stworzenia, arkę przymierza bożego, która ukrywała cudowną mannę, radość wszelkich stworzeń i istotę oczekiwaną przez wieki, na którą wszelkie stworzenie w niebie, na ziemi i pod ziemią spogląda, ponieważ w niej i przez nią dobrotliwa ręka Wszechmogącego sposobem duchowym wszystko odnowiła, co kiedyś powołała do życia.

Kto umie patrzeć i chce czytać i rozumieć, znajdzie jak wielkość i znaczenie Marji opisano w Ewangeljach. Już w opowieści z dzieciństwa Jezusa ukazuje nam się jako „matka swego Stwórcy i Zbawiciela". Anioł i Elżbieta mówią do niej i wielbią ją w tak natchniony sposób, że wszystko, co można o Marji powiedzieć, tu jak w zarodku się ukrywa. W późniejszem życiu Jezusa występuje ona najczęściej, mówiąc lub działając tam, gdzie chodzi o coś wielkiego, pełnego znaczenia, o rzeczy pierwszorzędnej wagi; przy pierwszym cudzie Jezusa, przy jego zbawczej śmierci, przy zgromadzeniu się uczniów podczas zesłania Ducha świętego. W jakimże niezwykłym majestacie ukazuje ją wreszcie ów wspaniały obraz, w jakim przedstawia ją ewangelista—orzeł w Apokalipsie? Obraz tak wzniosły i nadziemski, że żadna ludzka fantazja nie mogłaby wytworzyć czegoś potężniejszego i bardziej tajemniczego! Odziana niezmierną światłością słońca sprawiedliwości, depce na księżycu wszystko ziemskie, zmienne i niestałe, a na znak doskonałej cnoty, korona z dwunastu gwiazd wieńczy jej głowę. Zaprawdę tota pulchra est et macula non est in ea.

Ale w tem jeszcze nie wyczerpuje się cała wielkość i znaczenie tej nowej Ewy, gdyż Marja jest także pierworodną córką

wiecznego Ojca. Znaczy to, że gdy w wiecznych zamiarach bożych powstał plan stworzenia świata, była ona przed wszystkiemi stworzeniami przeznaczoną na Matkę Syna Bożego. Stąd pochodzi zwyczaj św. Kościoła, by słowa Pisma odnoszące się do Chrystusa, stosować także i do Marji; tak więc naprzykład wszystko co w księdze Syracha napisano o niestworzonej mądrości, a w księdze Przysłów o wieczności drugiej osoby boskiej, jak i o doskonałości człowieczej Chrystusa, mianowicie słowa: Na początku i przed wiekami jestem stworzona i aż do przyszłego wieku nie ustanę (*Ekli.* XXIV, 14). Pan posiadł mnie na poczatku dróg swoich pierwej aniżeli co uczynił (*Apokalipsa* XII). *W sensie dosłownym chodzi tu o Kościół.* Od wieków jestem ustanowiona (*Ks. Przysł.* VIII, 22, 23), *wybrana byłam na Matkę mego Zbawiciela i Odkupiciela ze sądu gniewu. Przez to jednak, że Marja posiadała z Bogiem Ojcem jednego i tego samego Syna, którego w zupełnej zgodzie z Nim oddała z miłości dla ludzi na śmierć, weszła ona w zupełnie szczególny i cudowny stosunek do pierwszej Osoby Bożej, stosunek taki, jak żadna inna córka ludzka ani przedtem, ani potem.*

Marja jest zatem Matką Syna Bożego: tu ukrywa się wszystko, co wypowiada się zawsze ku chwale i czci jej wzniosłości; gdyż zostać podniesioną do godności macierzyństwa bożego zawiera w sobie według św. Tomasza „godność prawie nieskończoną" z powodu „ścisłego związku z nieskończonem dobrem, którem jest Bóg!" Przyszedłszy, aby błędy i braki wszystkich zmazać, musiał Jezus znaleść niepokalaną dziewicę, z której mógłby się w nieskalany sposób narodzić, a ponieważ miał On ukazać światu wzór i obraz wszelkich cnót, musiała ta, od której chciał wziąć życie, być zwierciadłem i odblaskiem tych właśnie cnót (św. Bernard „Supra missus est"). *Z tej tak ścisłej łączności Marji z Jezusem wynika znowu serdeczny jej udział w dziele i cierpieniach jej Syna, tak, że Papież Pius IX wraz ze śś. Ojcami i Nauczycielami Kościoła czci ją jako „dziewicę kapłańską i pomocnicę w ofierze boskiej".*

Marja jest wreszcie oblubienicą i świętością Ducha wszelkiej świętości, i jest ona tem w daleko większym stopniu niż każda dusza będąca w stanie łaski poświęcającej, o tyle mianowicie, że nietylko ściślej niż każda inna dusza przez łaskę z Nim jest złączona, ale prócz tego jeszcze w inny, niezwykle cudowny sposób

się z Nim jednoczy, według słów archanioła: Duch święty zstąpi na Cię i moc Najwyższego zaćmi tobie. *W niej i z niej utworzył „palec prawicy Ojca" cudowne dzieło ludzkiego ciała Chrystusowego, który był ciałem z jej ciała i w którem krążyła krew z jej krwi, i dlatego musiało ono być całkowicie czystem. W łączności i porozumieniu z Tą, która przez liczne figury żyła niejako już w Starym Zakonie, dokonał On niezbadanej tajemnicy Wcielenia wiecznego Słowa, tak że my, chociaż stworzeni w wiecznem Słowie Bożem, nie bylibyśmy się obudzili do nowego życia, gdyby Ona nie była wymówiła słowa* F i a t, *pełnego niezmierzonej treści i nieskończonego znaczenia, jak to mówi święty Bernard (l. c. s. IV). Jest zatem Marja Jego naczyniem wybranem, Jego szczególną świętością, właściwem Betleem, (domem „Chleba") i właściwą Jerozolimą, miastem pokoju, gdzie ukazał się i mieszkał Większy, Mędrszy i Swiętszy niż Salomon i przez swój pobyt użyczył jej podobieństwa do siebie, przedewszystkiem duchowego, które rozwinęło się w ciągu długiego i bliższego współżycia, jak i w ciągu współudziału w tajemnicach Jego ukrytej, publicznej, bolesnej i chwalebnej pielgrzymki ziemskiej. W ten sposób Marja stała się krzakiem gorejącym miłości, a skarby jej cnót podobne kolumnie ognia na Synaju, połączyły ziemię z niebem. Duch wszelkiej świętości jeszcze za życia mądrej dziewicy z Nazaretu, wzbudził cześć dla Marji, gdy Elżbieta* napełniona nim *(*Łuk. *I, 41), jako pierwsze „Dziecko Marji" Ją jako błogosławioną wielbiła (*Łuk. *I, 45*).

Wobec tego zupełnie wyjątkowego i niesłychanego znaczenia Marji, są uwielbienia Marji składane jej przez Ojców Kościoła i Swiętych czystą i piękną prawdą, wypływającą koniecznie z odwiecznych zamiarów bożych ku zbawieniu ludzkości, tak że „nikt nie może mieć Boga za Ojca, kto Marji niema za Matkę". wedł. *Kirchenztg.*

WSPÓŁCZESNA KOBIETA O SOBIE.

Unja, przegląd miesięczny Związków instytucyj robotniczych katolickich, zaczął umieszczać, począwszy od numeru lutowego, interesujące sprawozdanie, przedstawione na kongresie w Angers przez kanonika M. Courbe,

wice-dyrektora diecezyjnego związków w Paryżu. Sprawozdanie to podaje bilans działalności dziewcząt. Ks. Courbe kreśli z substelną analizą psychologiczną obraz „współczesnej młodej dziewczyny” na podstawie dokumentów, zebranych przez ankietę *Unji*.

Istnieje młoda dziewczyna dzisiejsza, która nie jest młodą dziewczyną wczorajszą. Należy zdefinjować jej rysy, by móc jak należy odpowiedzieć jej potrzebom. Zażądaliśmy od nich samych, by nakreśliły swój portret i opieramy go na szerokiej ankiecie, która rozszerzyła się po większej części diecezyj Francji.

Główną cechą wysuwającą się na pierwszy plan, jest to, że dziewczyna dzisiejsza jest „niezależną”; by się o tem przekonać, należy im pozwolić mówić samym o sobie.

„Chcę być niezależną; jest we mnie żywe pragnienie, by mną nie kierowano, by zbierać własne doświadczenia, by swobodnie walczyć i cierpieć, gdyż chcę być sama sobą, chcę poznawać własną osobowość. Chcę móc przejawiać swobodnie swoje upodobania, swe sympatje i antypatje, kierować sama swemi studjami, wybierać swoje stosunki, wyznawać swoje poglądy, jak wierzenia religijne, opinje polityczne, czy swą obojętność. Jestem „chłopczycą”, nawet hałaśliwą, jeśli chodzi o stwierdzenie mojej niezależności. Jest to we mnie wrodzone, spostrzegam to dobrze; skoro tylko ktoś usiłuje podporządkować mój umysł w jakikolwiek sposób, buntuję się natychmiast, i trzeba całej ufności w boskiego Mistrza, by uspokoiła się moja wzburzona natura. Wiele innych mówiło mi, że odczuwają podobne wrażenia, ale nie mają one niestety tej samej mocy”.

Ta niezależność jest zarówno w ich umyśle jak i w ich sercu, przejawia się w ich życiu rodzinnem, jak i w życiu zawodowem.

Niezależność umysłu:

„Dawniej religja była tradycją, która przechodziła z pokolenia na pokolenie, jak honor, lojalność; po emancypacji umysłu religja nie jest już podstawą życia, bada się ją i analizuje jak naukę, gdy dawniej była instynktowną i intuicyjną.

Czyż trzeba wobec tego wnioskować, że jesteśmy mniej pobożne? Większość młodych dziewcząt jest rzeczywiście mniej pobożna. Niegdyś, wychodząc z pensji, młoda dziewczyna znajdowała w swojej rodzinie tę samą atmosferę prawą i czystą, zdrową i religijną, w której chowała się w klasztorze. Obecnie, duch wolnościowy, który wieje w społeczeństwie, przenika ją w szkole, rodzinie, świecie. Słyszy ona krytyki, oszczerstwa, chce więc sądzić sama, choć powinna tylko słuchać. Nie widząc przykładu w domu, wyzwala się ona z praktyk religijnych, które wpajano w nią w dzieciństwie...

Znam niestety dużo młodych dziewcząt, które mając zbytnią swobodę czytania, czytają wszystko co im się podoba, nawet książki, o których dojrzałe osoby odzywały się z niesmakiem. Literatura przedstawia szerokie pole wyboru pięknych dzieł i niema potrzeby zniżać się do poziomu dzieł pospolitych. Wielu książek, które dziś czytamy, nie danoby do ręki młodych dziewcząt w dawnych czasach. Nie należy nadzorować zbyt ciasnym umysłem tej rozrywki przyjemnej i pouczającej. Jeśli jakieś dzieło o wyso-

kiej wartości moralnej zawiera kilka wierszy zbyt śmiałych, nie trzeba go za to potępiać. Duch tylko pozostaje, litera mija...

Niezależność serca:

My, młode dziewczęta z 1928 roku, patrzymy na małżeństwo z innego punktu widzenia, niż nasze prababki.

W epoce romantyzmu, młoda dziewczyna, kołysana tkliwemi i czystemi opowiadaniami Bernardyna de Saint-Pierre, kładła w swoje marzenie o małżeństwie całe swoje serce, i całą jego potęgę kochania.

Dla nas, mąż nie jest już tym, którego się słucha, który utrzymuje rodzinę swoją pracą i wspiera ją swemi radami. W naszej epoce krańcowości wszelkiego rodzaju, nie istnieje już spokojna i głęboka, sentymentalna kobieta.

Młoda dziewczyna współczesna jest albo namiętna, egzaltowana, nie słucha rozumu, żadna uwaga jej nie dotyka, nic nie może przełamać jej uporu, idzie ku miłości gwałtownie i zmysłowo.

Albo też pragnąc niezależności, uważa małżeństwo za przeszkodę dla swojej wolności, i zgadza się na nie tylko pod warunkiem, że znajdzie w niem odpowiednią wygodę i swobodę.

My dziś nie ufamy miłości, boimy się jej, i młodego człowieka, który się nam podoba, analizujemy najpierw: jakie zajmuje stanowisko? W jaki sposób będziemy mogły z nim być niezależne? Jeśli odpowiedzi na te pytania nie są zadawalające, „wstrzymaj się moje serce, nie można". Przyzwyczaiłyśmy się nawet rozkazywać naszemu sercu; nasze pragnienie używania jest silniejsze od naszej potrzeby kochania.

Czyż trzeba z tego wnosić, że nie mamy serca? Bynajmniej. Nasze serce istnieje, zniekształcone trochę, zwrócone w inną stronę. To słowo — serce, dla naszej młodości jest znakiem słabości; nie chcemy cierpieć, tłumimy je. Pewien rodzaj wstydu i skromności, każe nam afiszować się ideami, których może nie mamy rzeczywiście. Chcemy uchodzić za obojętne. Chcemy uchodzić za umysły silne, duma nasza polega na tem, by być wolną, wolną nawet z punktu widzenia uczuciowego. Jeśli nasza radość, nasze szczęście jest w ten sposób stępione, to i troski i cierpienia przesuwają się, nie pozostawiając blizn. Jest w nas mniej zapału, mniej idealizmu, więcej praktyczności".

Niezależność w rodzinie:

„Nie jesteśmy już posłusznemi żonami lub biernemi dziewczętami, jesteśmy istotami świadomemi, chcącemi zająć jasne i zdefinjowane miejsce w życiu. Rozkazujemy, zarządzamy, a mniej słuchamy. Dziewczyna współczesna w swojej rodzinie rozumuje i dysputuje ze swymi rodzicami; nie jest to już posłuszna owieczka, która bez szemrania poddawała się władzy ojcowskiej.

Dzieci obawia się jako przeszkody w zabawie, jako więzów, i niepotrzebnego, ciężkiego wydatku. A jeśli pragnie się jednej lub dwóch z tych małych jedności dodatkowych, nie można pragnąć ich zbyt licznych, gdyż życie dzisiejsze, złożone z zajęć różnorodnych, trudności mieszkaniowe, trudności ze służbą, nie pozwalają matce rodziny na posiadanie zbyt licznego gniazda. Mimo to nie widzę ogniska domowego bez dzieci, gdyż

w każdem sercu kobiecem znajduje się przedewszystkiem i ponad wszystkiem serce matki".

Niezależność w pracy zawodowej:

„W dawniejszych czasach młoda dziewczyna miała przyszłość zapewnioną; większość czasu wegetowano w nudnej bierności i jednostajności, zadawalając się spędzaniem całych dni nad haftowaniem, pieczeniem, lub praniem.

Nasze pragnienia i dążenia sięgają daleko dalej; chcemy zapewnić sobie niezależność zdobyciem odpowiedniego stanowiska. Jeśli tego stanowiska nawet koniecznie nie potrzebujemy, wyzwala nas ono z pod jarzma rodziny i społeczeństwa.

I gdy na sto młodych dziewcząt ze sfer mieszczańskich, dziesięć tylko było zmuszonych pracować na swoje utrzymanie przed wojną, od tego czasu, z powodu ruin majątkowych, 80 na 100 zmusza los do zarabiania na chleb.

Zatem nie mówcie nam: kobieta dla domowego ogniska, kobieta dla szycia, kobieta dla kuchni; jakiemiż pięniądzmi opłacimy to ognisko? Za jakie pieniądze zakupimy pończochy? Za jakie pieniądze nabędziemy jarzyn do zupy"?

Dodajmy, że wiele z nich nakreśliło wśród głównych swych pragnień: pragnienie używania, egoizm, nieumiarkowaną kokieterję, a z wielu odpowiedzi przebija utrata poczucia obowiązku, lekceważenie obowiązków rodzinnych, znaczne obniżenie skromności i wstydliwości.

Ta ewolucja umysłowości kobiecej stanowi *jeden z najpoważniejszych społecznych faktów współczesnych*: podkreśla ona *wyzwolenie kobiety* w znaczeniu umniejszającem.

Plan boski naznaczył jej jako normalną *dziedzinę działalności ognisko domowe*: miała ona być jego osią, jako żona *adjutorium simile sibi*, i jako matka, i oto została ona od niego odwrócona i przeniesiona w środowisko często niezdrowe i *wyrwana ze swojej normalnej roli*: zamiast być „zależną", „łącznikiem rodzinnym", staje się ona „niezależną" i „indywidualnością". Usiłuje się zrównać ją z mężczyzną: przyjmuje ona jego umysłowość. Spotyka się ją jak młodych ludzi i mężczyzn, w szkołach wyższych, liceach i na wydziałach uniwersyteckich, w biurach, warsztatach i fabrykach. Wszyscy wiedzą, że *jest ona wolną*, że rozporządza swobodnie swojem sercem, swojem ciałem, swoim czasem, że może swobodnie wybierać swoje rozrywki, wychodzić kiedy chce, wolną jest we wszystkiem.

Rzucona w pełne życie, słyszy wszystko, widzi wszystko. Pod wpływem nauczania świeckiego zwłaszcza na wyższych stopniach, dusza jej dąży do odchrześcijanienia się; gdy chodzi o środowisko zawodowe z jego rozmowami i przykładami, ryzyko jest to samo.

Powietrze, którem oddycha, jest zabójcze: ulice, uroczystości, afisze, kinoteatry, teatr, książki, mody zdradzają cywilizację napół-pogańską. I w tem wielkiem niebezpieczeństwie, na jakie narażoną jest jej wiara i jej serce, środowisko, które normalnie powinno ją chronić, *rodzina*, jest niestety zbyt często bezsilną. Ojciec rzadko jest w domu, matka musi go opuszczać

dla pracy, związek małżeński jest rozluźniony: za przykład dzieciom służą często tylko dyskusje rodziców; wychowanie jest bardzo małe, jeśli wogóle istnieje, lub nawet szkodliwe: rodzina jest schronieniem moralnem bardzo niepewnem i nie zajmującem, i dziewczyna opuści je prędko, by szukać poza domem rozrywek, które jej się podobają, i od których nikt nie stara się ją odwieść.

Chwila jest poważną, gdyż serce i wiara młodej dziewczyny, przyszłej podpory ogniska domowego są w niebezpieczeństwie; a zniszczenie ognisk domowych chrześcijańskich będzie zniszczeniem cywilizacji chrześcijańskiej. Ona sama to czuje; czyż nie sprawia wrażenia to wezwanie, które rozlega się jak S. O. S. ginącego okrętu:

„Nigdy nie potrzebowałyśmy tak oparcia duchowego, rozumnego, któreby rozumiejąc, że nie można nie iść z biegiem czasu, umiało przystosować się do niego, i któreby wyprzedzało go niejako, przeczuwając, czego potrzeba duszom i dając im to, czego im trzeba". *La Croix.*

STULECIE LEONA HARMEL.

Stulecie Leona Harmel obchodzono uroczyście 3 lutego na Monmartre. Jest to fakt bardzo znamienny. Wymowny biskup z Châlons w świątyni specjalnie umiłowanej przez katolików francuskich, złożył hołd Kościoła temu, który całe swoje długie życie, ośmdziesiąt cztery lat, poświęcił szerzeniu zasad chrześcijańskich w swej słynnej fabryce, temu, który był zawsze dla Kościoła jednym z najbardziej przywiązanych, posłusznych i kochających synów, i całem sercem się starał, by kochano Jezusa-Chrystusa i wyznawano go w związkach robotniczych, a nawet w zgromadzeniach wyborczych. Ten, którego liczni robotnicy nazywali „dobrym ojcem", miał jeden cel: wyrabiać ludzi. „Mojem prawdziwem zadaniem nie jest budowanie samochodów, pisał słynny przemysłowiec amerykański, Ford; wozy, wychodzące z mego warsztatu są tylko czemś drugorzędnem w mojem prawdziwem zadaniu, które polega na tem, by wyrabiać ludzi". Na długi jeszcze czas przed tym Amerykaninem i bezwątpienia w sposób jeszcze doskonalszy niż on, zajmował się Leon Harmel tem zasadniczem zadaniem każdego, kto stoi na czele jakiegoś przedsiębiorstwa: „Ja, mówił o sobie, jestem człowiekiem o jednej idei, a tą jest kształtowanie inicjatywy prywatnej".

Nie był to teoretyk; odczuwał potrzebę szybkiego przechodzenia do czynu. Ale nigdy nie tracił z oczu swojej wielkiej idei, którą stosował u siebie: wyrabiać robotników tak, by umieli zarządzać swemi sprawami. Oczywiście nie znaczy to, by miał zniknąć autorytet. Przeciwnie. Harmel był za silną i czynną władzą; ale chciał, by ona była ojcowska, a nie zazdrosna; chciał, by pracodawca ułatwiał współdziałanie, pozwalał na współpracę robotników w kierowaniu przedsiębiorstwem, zamiast wszystko robić samemu, by rządził swą fabryką tak, jak Bóg rządzi światem; Bóg, mówił on, nie rządzi tym sposobem, że tłumi naszą wolną inicjatywę, przeciwnie, on odwołuje się do niej i wspiera ją.

...Wzbudza On szlachetne poświęcenia, zapala wzniosły zapał i władza drugorzędna tworzy jakby niekończącą się drabinę, która nie ma żadnej granicy co do rozciągłości i głębi, prócz granic samego człowieczeństwa. Pracodawca, za przykładem Boga, winien przekazywać swą władzę, nie zrzekając się jej jednakże i nie przestając interesować się swojem dziełem. Pełnomocnictwo jakiego udziela, nie znaczy, że pozbawia się on wszelkiej możności interwenjowania.

Od czasu zaprowadzenia prawa cezaryjskiego (podczas Odrodzenia), pisze on gdzieindziej, pojęcia o władzy spaczyły się coraz więcej. Zmaterjalizowano ten związek, który jest czysto duchowy. Każdy okazywał się o niego zazdrosnym, chciał go zatrzymać wyłącznie dla siebie. Uważają oni przemysłowców sprzeciwiających się tej metodzie, za ciastko, które się zmiejsza, w miarę jak się je dzieli; podczas gdy władza zwiększa się i wzmacnia w miarę jak jest podzieloną, byle tylko podział ten odpowiadał prawom hierarchji.

Mawiał on również:

Centralizacja jest czemś nawskróś rewolucyjnem, tłumi ona inicjatywę i niszczy wolność, niszcząc równocześnie władzę... Gdy uczucie odpowiedzialności zanika, godność ludzka upada; pozostaje tylko służalczość, czyli bunt, co jest jednem i tem samem.

Harmel starał się więc ustanawiać w fabryce swojej władze drugorzędne, które pracodawca zachęca do działania, ale którym pozostawiał swobodę inicjatywy, zwłaszcza w zakresie organizacji ich specjalnych interesów.

Wszystko to jednak miało na celu odrodzenie rodziny, gdyż Harmel nie zapominał nigdy, że w organizacji społecznej wszystko winno obracać się na dobro rodziny. Jest rzeczą uderzającą, że gdy po raz pierwszy zabrał głos na kongresie — było to w r. 1873, w Nantes, na kongresie Związku Instytucyj — oświadczył: „Pierwszym celem pracodawcy chrześcijańskiego winno być odrodzenie rodziny robotniczej".

Kochał on bardzo swoich robotników, swoje „drogie dzieci", miłością prawdziwą, prostą i głęboką. Oni go rozumieli i odwzajemniali mu się. „Widziałem pana Harmela oklaskiwanego i niesionego w triumfie przez wszystkich tych robotników — pisał jeden ze świadków w wieczór wielkiego zgromadzenia. A mimo to mogę zaświadczyć, że im nie schlebiał, nie, mówił im szczerze całą prawdę; ale ich kochał, i to wyjaśnia wszystko".

Leon Harmel był oczywiście nieraz krytykowany i często niesłusznie. Bezwątpienia uczynionoby lepiej, gdyby korzystano więcej z tego, co było dobrego w jego teorji i jego przykładach i gdyby słuchano jego wzruszającego ostrzeżenia, które wypowiadał już w 1877 roku. Jego wielka wiara, jego głęboka pobożność, jego prawdziwa miłość dusz, pozwalały mu przewidywać ogromne niebezpieczeństwo, którego ci, którzy go krytykowali, nie umieli odróżnić.

„Jeśli nie chce się nic robić, korporacje ustalą się mimo to; zostaną one jednak skierowane przeciwko Kościołowi, a wiemy, że radykali pracują nad tem usilnie. Podczas gdy dzielą nas poglądy i dysputy i nie pozwalają nam złączyć w jedno wspólne ognisko wszystkich dobrych dążeń, nasi przeciwnicy działają. Poczekajcie jeszcze kilka lat, a robotnicy fabryczni

zostaną zorganizowani w ogromną sieć związków obróconą przeciwko Bogu: wysiłek, który wydaje się nam dziś trudnym, będzie już jutro niemożliwym; przyjdziemy zapóźno"... *Vie intelectuelle.*

Z MEKSYKU.

Tylko cud mógłby pozwolić na zwycięstwo armji generała Escobara w meksykańskiej wojnie domowej". Pisaliśmy tak — donosi *The Tablet* — cztery tygodnie temu, opierając nasze twierdzenie na telegramach, opisujących niezmiernie cenną pomoc „pilotów i aeroplanów" oddanych przez rząd Hoovera despotyzmowi Callesa. A pomoc ta miała być bardzo groźną. Wojenne aeroplany, przygotowane przez fachowców dla Meksyku, posiadają szybkość przeszło 150 mil na godzinę. Mogą one zabrać blisko tonę materjałów wybuchowych, rozłożonych na bomby łatwo wybuchające. Oprócz tego w każdym aeroplanie znajdują się dwa karabiny maszynowe. Nie śmiałość też, ani odwaga Plutarcha Callesa zadała klęskę generałowi Escobar na północ od Jimenez, ale groźna potęga tych maszyn, wyrabianych na Long Island. Generał Escobar prowadzac swoją zręczną grę pociągnięcia generała Callesa coraz dalej na północ ku Bachimba Pass, z powodzeniem prowadził swoich ludzi i wozy z żywnością, gdy nagle zaskoczyły go niespodziewanie posiłki powietrzne, przysłane przez prezydenta Hoovera Callesowi. Tak straszliwe były następstwa tego ataku, że nie silimy się wyrazić tego w naszych słowach. Calles, w depeszach wysyłanych do miasta Meksyku, które zostaną w historji, opisuje tę bitwę jako „prawdziwą i przerażającą rzeź powstańców".

„Zatracenie zdrajców jest już tylko kwestją godzin", pisał Calles w jakiejś odezwie. Wiele godzin minęło: ale naprzekór stałej i wydatnej pomocy prezydenta Hoovera tysiąc tak zwanych zdrajców, którzy jak się okazało, są przecież silni i odważni, udało się na północny zachód, w kierunku stanu Sonora, gdzie mają przyjaciół i zapasy. Jednakże tam znowu potężna interwencja prezydenta Hoovera grozi zniszczeniem powstańców, o ile cud jakiś nie zajdzie. Telegramy przesyłane z nad granicy Stanów Zjednoczonych do Nowego Yorku, a stamtąd do Londynu, mówią nam, że ta interwencja jest już faktem. Zdarzył się następujący wypadek: Powstańcy używając starych traktorów Forda za tanki, zaatakowali ostro miasto Naco w Sonora, gdy nagle załoga Callesa otrzymala pomoc w 300 żołnierzach. Byli to Calliści, którzy uciekli za granicę przed kilku tygodniami, po zwycięstwie powstańców. Zostali oni internowani, według zwyczaju w Fort Bliss, miejscowości należącej do Stanów Zjednoczonych. Komendant Fort Bliss, o ile nas prawdziwie poinformowano, otrzymał polecenie uznania tych żołnierzy za nieregularnych i nie nadających się do przyjęcia emigrantów i do odesłania ich z powrotem na terytorjum meksykańskie. Fakt ten wygląda brzydko dlatego, że ludzi tych zabrał pociąg z Arizona do oznaczonego miejsca, w takiej chwili, która umożliwiła Callistom odparcie ataku przeważających sił powstańców.

Wiemy, że i kilku z wodzów walczących z Callesem ma za sobą nie-

pewną przeszłość. Znajduje się wśród nich Robert Cruz, dobrze znany jako prześladowca katolików. A niedawno przyłączył się do nich generał Lopez, znany jako tchórz i morderca. Generał Escobar ma sam na swojem sumieniu polityczne morderstwa. Ale, pomimo wszystkich swoich błędów, zdaje się nam, że powstańcy Escobara są jednak godniejsi szacunku od Callistów. W każdym razie przedstawiają oni część ludności meksykańskiej i mają wobec tego prawo do neutralności Stanów Zjednoczonych w obecnej, prowadzonej na szeroką skalę wojnie domowej, a neutralności tej niema. Prezydent Hoover trzyma się polityki i działalności prezydenta Wilsona z przed pietnastu lat, to znaczy, nie ma odwagi zająć Meksyku, ale praktycznie uważa go za przedłużenie Stanów Zjednoczonych od południa, posługując się nikczemnymi ludźmi do utrzymania spokoju w Meksyku.

Katoliccy przeciwnicy Callesa i Gila mają innych kierowników i inne ideały niż armja generała Escobara. Tak zwani „Cristeros" lub „ludzie Chrystusowi", — zaznaczamy mimochodem, że tak nazywali się pierwsi wyznawcy Zbawiciela w Antjochji — są bardzo silni w stanie Jalisco; ale Jalisco nie jest ich jedyną siedzibą. Leży przed nami manifest wydany do narodu, z podpisem generała Gorostieta, odnoszący się do „Cristeros". On i jego przyjaciele napewno nie są Escobarystami. Pragną oni odnowienia Konstytucji z 1857 roku, i łączą się z manifestem przedstawionym przez biskupów meksykańskich w parlamencie przed siedmiu miesiącami. Tak zupełne jest ich zaufanie do katolicyzmu ludności Meksyku, że żądają referendum, na mocy którego głosowaliby nietylko mężczyźni ale i najstarsza kobieta w każdej rodzinie. Aż do obecnej chwili nie mamy żadnego dowodu, by pod jakimkolwiek względem „Cristeros" identyfikowali siebie z Escobarystami.

ZE STOSUNKÓW W CHINACH.

(*Fides*). Kapłan katolicki w Siang-Yang, prowincji Hupeh, O. Guerra, przeraził się niedawno, ujrzawszy oddział żołnierzy, wchodzący na cmentarz przed jego kościołem. Nowe utarczki, pomyślał. Wielkie było jego żdziwienie, gdy komendant wyjął kopję odezwy papieża Piusa XI do narodu chińskiego i odczytał pismo głośno, wyjaśniając słowo po słowie i podkreślając energicznie wspaniałomyślność papieża katolickiego Kościoła, „który odnosi się ze specjalną miłością do Chin i narodu chińskiego". Po przeczytaniu jej żołnierze opuścili dziedziniec kościelny. Odezwa Ojca św. dostała się w ręce tego oficera, gdyż rozpowszechniano ją szeroko, zwłaszcza między świeckiemi i wojskowemi władzami, za pośrednictwem wikarjatu w Laohokow. Franciszkanie włoscy użyli tego drukowanego słowa jako potężnego środka pomocnego przy rozszerzaniu artykułów o nauce katolickiej, oraz o życzliwej postawie Kościoła względem Chin, która przebija z odezwy papieskiej. Wikarjat w Laohokow obejmuje 40.000 katolików, oraz 10.000 przygotowujących się do przyjęcia chrztu.

Agencja *Fides* donosi dalej o troskach katolickich misjonarzy we wszystkich częściach Chin. Misjonarze cierpią najwięcej w czasie wojennym z powodu przerw w komunikacji. Poczty i drogi okrętowe w dolinie Yangtse

są teraz w większej części unieruchomione, a przemarsze wojsk przez równinę Kiangsi-Hunan czynią normalne życie niemożliwem. Chofoo, ognisko anti-narodowej działalności, pod przewodnictwem Chang-Tsung-chang, jest siedzibą biskupa katolickiego, który stoi na czele kwitnącego wikarjatu, pozostającego pod opieką francuskich franciszkanów.

Biskupi w wielu częściach Chin, gdzie niema obecnie walk, ale gdzie od dawna nie było silnego rządu, donoszą o ciężkich warunkach niektórych swoich kapłanów, którzy tak długo trzymają pełną trwogi i niepokoju pieczę nad swoją trzodą i kościołami, zwalczając szerzycieli czerwonych i antichrześcijańskich doktryn. Ks. Patryk Joy, T.J., pisze z Hong-Kong: „W obecnej chwili bardziej, niż kiedykolwiek w ciągu kilku ubiegłych miesięcy, wielki pytajnik może tylko określić pogląd na położenie w Chinach. Z północy nadchodzą wiadomości o nowych atakach na powstańców, które wywołują okrzyk pesymisty: „Mówiłem, że pokój się nie utrzyma".

Kapucyni niemieccy w wikarjacie Tsinchow, w prowincji Kansu, w głębokich środkowych Chinach, dwa miesiące drogi od brzegu morza, żywią dziennie 10.000 głodnych w swoim straszliwie dotkniętym głodem i wojną okręgu. W mieście Tsinchow główna misja opiekuje się 1.500 mieszkańcami, w każdej zaś z dwudziestu innych stacyj misyjnych 300 do 800 osób zaopatruje się w żywność. Nietylko wszystkie zasoby misji poszły na ten cel, ale biskup musiał pożyczyć pieniędzy od bogatych pogan dla kupienia żywności. Podczas, gdy wszystkie prowincje Chin północnych, wzdłuż granicy mongolskiej, cierpią głód, w najbardziej beznadziejnem położeniu znajduje się dla swej niedostępności Kansu. Władze misyjne w Tsinchow twierdzą, że 80 procent ludności cierpi straszne męki głodowe. Na ulicach Tsinchow ludzie upadają i umierają z wyczerpania. Pomóc wszystkim jest rzeczą niemożliwą fizycznie, gdyż nie można dostać za żadną cenę pożywienia. Trzeba się pogodzić z tym straszliwym faktem, że wielka część ludności musi zginąć z głodu, zanim najbliższe żniwo przyniesie ratunek.

The Tablet.

WYZNANIE NAWRÓCONEGO. Dziennik *Temps* zamieścił wiadomość o śmierci Ernesta Vaughan, dawnego administratora dziennika *Aurore* i dziennika *Victoire*. Redaktor *Victoire*, Gustaw Hervé, podaje oświadczenia, jakie uczynił mu zmarły, na jakieś ośm dni przed śmiercią: Mój drogi przyjacielu, wkrótce cię opuszczę. Wiesz, że od śmierci tej, którą straciłem, życie jest mi ciężarem. Zanim jednak cię opuszczę, pragnę ci coś oświadczyć przed mymi synami. Jak wiesz, od czasów mego dzieciństwa i prawie przez całe moje życie szydziłem z religji, zarówno z tej, w której się urodziłem, jak i z tej, w jakiej ty, Bretończyk się urodziłeś. Całe moje pokolenie republikańskie szydziło razem ze mną. Otóż w chwili, gdy mam już odejść, oświadczam bez trwogi i o ile mogę bez wyrzutów, że z całą partją republikańską myliłem się grubo i że wyrządziliśmy nieprzewidzianie wielką krzywdę krajowi. Jestem dziś pewny, pewny zupełnie, że nie można oprzeć społeczeństwa cywilizowanego na materjalizmie i ateizmie. Wyjaśnienie religijne tajemnic, które nas otaczają, nie jest bynajmniej jasne dla naszego biednego rozumu ludzkiego; ale tłumaczenie materjalistyczne i mechanistyczne wolno-myślicieli i ateistów jest jeszcze mniej jasne, i jest pozatem jeszcze daleko mniej pocieszające. Chcę ci powiedzieć, że umieram zgadzając się zupełnie z tobą; gdybym był wcześniej odkrył te prawdy, starałbym się je rozszerzać jak ty, bez względu na to co o tem powiedzą ludzie, nie obawiając się śmieszności ani szyderstwa. — Upoważniam cię do publicznego ogłoszenia tego, co ci powiedziałem, — w celu zbudowania młodych pokoleń republikańskich. Oswobodziłem moje sumienie!

WIARA I NAUKA.

O POTRZEBIE METAFIZYKI.

Prof. L. Guénot, jeden z najwybitniejszych biologów współczesnych, wypowiedział przeszłego roku w Akademji w Nancy mowę inauguracyjną na temat potrzeby metafizyki, którą poniżej za miesięcznikiem *Études* podajemy.

Od tysiącleci, człowiek, gdy umie się dziwić, a może swobodnie rozmyślać, usiłuje rozwiązać najciemniejsze, lecz też i najbardziej interesujące zagadnienie, mianowicie sens własnego istnienia, oraz istnienia wszechświata, którego jest cząstką, a który go porywa w nieskończoność przestrzeni i czasu.

Jest to przedewszystkiem zagadnienie metafizyczne*).

Umysł ludzki niespokojny, nie pogodzi się z tym pogardliwym sceptycyzmem który twierdzi, że metafizyka jest czemś niepewnem, a może nierzeczywistem; chce on przedewszystkiem wiedzieć, czy jego poszukiwania są bezpodstawne, czy słuszne; chce posiadać motywy uzasadnionego wyboru między systemami filozoficznemi; i wtedy przy pomocy własnego rozumu i zdobyczy naukowych danej epoki, próbuje w pierwszym rzędzie ująć syntetycznie swoją znajomość świata, w nadziei, że dojdzie przynajmniej do wniosków prawdopodobnych, które pokierują jego decyzją.

Ta konstrukcja musi oczywiście mieć podstawę niewzruszalną i niezaprzeczoną; otóż, istnieje taka podstawa, fundament z opoki, na którym wznoszą się wszystkie nauki i wiedza ludzka; jest nim *zasada przyczynowości*, wyprowadzona z doświadczenia codziennego.

Weźmy, naprzykład gładki kamień z nad brzegu rzeki; wiemy, że zaokrąglony jego kształt pochodzi od tarcia, spowodowanego ruchem wody; i jesteśmy tego tak pewni, że obecność okrągłych kamyczków na wzgórzach otaczających Nancy uprawnia nas do wniosku, iż w epokach zamierzchłych rwały tędy z dalekich Alp gwałtowne potoki. Cofając się jeszcze bardziej w przeszłość, widzimy, że te okrągłe kamienie były kiedyś kanciaste, i zostały oderwane od dawniejszych pokładów pod wpływem przyczyn różnorodnych, które powodują to, co nazywamy działaniem erozyjnem. W dalszym ciągu analizując i cofając się w czasie, poznajemy bez końca przyczyny przyczyn, naprzykład ruchy skorupy ziemskiej, które wytworzyły jej wypukłości, dalej osady pozostałe po dawnych morzach, skład chemiczny naszego globu, strukturę mgławicy, z której przez ewolucję wyłoniła się ziemia, i t. d. Dochodzimy za pomocą czystego rozumowania do wniosku, dla wszystkich niewątpliwego: okrągły kamyczek, który trzymany w ręku, jest nieuniknio-

---

*) Metafizyka jest poznaniem rzeczywistości takiej, jaką jest sama w sobie, poza zjawiskami doświadczalnemi i podpadającemi pod zmysły; jest to więc poznanie rzeczywistości niematerjalnej, do którego się dochodzi tylko drogą czystego rozumu.

nym skutkiem układu atomów wszechświata, takiego, jaki nam jest dany; istnienie tego kamyczka było zdeterminowane przed wiekami; nie mógł nie istnieć.

Wszystkie nauki, astronomiczne, mechaniczne, fizyczne i chemiczne opierają się na zasadzie przyczynowości, czyli, jak to po naukowemu wolimy wyrażać — na determinizmie, wspólnym wszystkim filozofjom. Każde zjawisko ma przyczyny, które mogą być bardzo proste i zrozumiałe, gdy są blizkie swych skutków, a które komplikują się bez końca, w miarę jak się od przyczyny oddalają. Obserwacją i doświadczeniem możemy na każdym kroku sprawdzać tę zasadę, że kiedy od skutku doszliśmy do jego przyczyny, możemy też postąpić odwrotnie, i odtworzyć skutek lub przewidzieć go, biorąc przyczynę za punkt wyjścia. Astronom ze ścisłością oblicza bieg planety; Le Verrier, uderzony anomaljami orbity Uranusa, wskazał jako przyczynę tego zjawiska istnienie nieznanej planety, która rzeczywiście została odkrytą przez innego astronoma w miejscu, w którem przewidziała ją teorja.

Sposób zapatrywania się człowieka na przyczyny zmieniał się z biegiem wieków; dla człowieka pierwotnego zjawiska natury tłumaczyły się ingerencją niezliczonych demonów lub bóstw o woli kapryśnej; w wyciu burzy, w huku grzmotów, w łoskocie wybuchów wulkanicznych słyszał on straszne głosy duchów powietrznych i ziemi. Ale te osobistości mityczne utraciły z czasem swą władzę dobroczynną lub złoczynną, i za każdym razem, gdy w dziedzinie przyrody człowiek mityczne tłumaczenie rzeczy zastępował tłumaczeniem pozytywnem, nigdy się nie cofnął wstecz; jest on też dziś pewnym, że każde zjawisko, jakkolwiek dziwne i rzadkie*), pochodzi z przyczyn naturalnych. Astronom, fizyk i chemik nie odczuwają żadnego niepokoju metafizycznego wobec zjawisk, które obserwują. Studjują ich przyczynowość mechaniczną, która, gdy zostaje wyświetlona, zdaje doskonale sprawę z wszystkiego, co się dzieje. Niema niczego, coby nie było zdeterminowane; to, co często zwiemy przypadkiem, jest niczem innem, jak tylko poszczególnym wypadkiem, którego przyczyny są zbyt liczne lub zbyt drobne, by zanalizowanie ich było możliwem: można jednak przewidzieć ich skutki w formie statystycznej; wiem dobrze, że, jeżeli rzucę w powietrze tysięc razy z rzędu monetę, to pięćset razy padnie mi jedna strona do góry, a pięćset razy strona odwrotna; skoro wynik ten może być przewidziany w tak wielkiem przybliżeniu, znaczy to, że był on z góry ściśle zdeterminowany.

Na tym globie, .poddanym bezwzględnemu determinizmowi, a nawet statystyce, pojawiło się pewnego dnia coś nowego; istota żyjąca. Chociaż, co do owego pierwszego bytu o rozmiarach prawdopodobnie mikroskopijnych, lub ultra-mikroskopijnych, nic bardzo pewnego nie wiemy, możemy przypuszczać tylko dwie rzeczy: albo przybył on z innych światów mniej więcej do naszego podobnych, gdzie istniało już życie (hipoteza panspermji), albo pojawiło się nagle, może i w różnych punktach równocześnie, przez przypadkowe skupienie się odpowiednich atomów; czyli, że w danym mo-

---

*) Odnosi się to do spirytystów, medjów, fakirów, i innych kuglarzy.

mencie T, na punkcie P. nie było nic żyjącego, podczas gdy w chwili T, na tym samym punkcie P. był byt żywy (hipoteza powstania spontanicznego).

Nie wchodząc w kwestję sposobu pojawienia się jego na ziemi, wiemy, że życie istnieje na niej od czasów, które obliczają na półtora miljarda lat, z tendencją ciągłego powiększenia tej liczby; pierwotny zawiązek rozwinął się w cudowny rozkwit roślin i zwierząt w wodzie i powietrzu i aż w głębinach jaskiniowych, rozkwit, ukoronowany ostatnio pojawieniem się istoty wyjątkowej, człowieka, zwierzęcia świadomego, twórcy narzędzi, wyposażonego w zdolność myślenia rozumowego, które wyraża mową.

Jeżeli będziemy przejęci duchem deterministycznym i mechanistycznym, to pierwszą żywą istotę i wszystkie od niej pochodzące, będziemy mogli uważać tylko jako zbiorowisko chemicznych koloidalnych substancyj, zbiorowisko, którego pojawienie się, oraz reakcje, są tak samo ściśle z góry wytknięte jak powstanie i reakcje kryształu kwarcowego; z góry również będzie wytknięta jego ewolucja w czasie przez działanie przyczyn naturalnych, jak dążenie życia, by zdobywać przestrzeń i materję, jak zmienność, selekcja i t. d. Będzie również z góry zdeterminowane ukazanie się istot żyjących, czyny człowieka, jego dzieła, jego słowa. Nic nie może przeszkodzić rozwojowi przyczyn, rodzących skutki, które z koleji staną się przyczynami innych skutków i tak bez końca.

Koncepcję tę zwaną *determinizmem integralnym*, *monizmem mechanistycznym*, *radykalnym pozytywizmem*, można streścić w zdaniu: w żadnym wypadku niema początku absolutnego. Wszechświat jest niestworzony, konieczny, wieczny, w ciągłej ewolucji; rozlewa on niewyczerpalny strumień swych zjawisk, których nieunikniony tok nie może być przerwany; jego stan dzisiejszy jest skutkiem jego stanu poprzedniego i przyczyną zarazem tego, co ma nastąpić; życie jest odwieczne, w wiecznej przemianie, bez celu bliższego czy dalszego, jest ono tylko nikłą pleśnią, wyrośniętą jednego dnia na skorupie ziemskiej, o niewiększem znaczeniu, jak biały pióropusz fali, wzniesionej przez chwilę nad powierzchnią morza, która natychmiast ginie. Człowiek, jako zwykła cząstka w powszechnym determinizmie, nie znaczy ani więcej ani mniej od rośliny lub zwierzęcia, jest wytworem bezplanowo działających przyczyn. Niema nic poza istnieniem faktu materjalnego; nie istnieje ani dobro, ani zło moralne, ani zasługa, ani grzech, ani odpowiedzialność, dlatego, że wszystko jest z góry zdeterminowane; wolność jest złudzeniem, wywołanem niezmierną złożonością determinizmu naszych myśli, sumienie jest nad-zjawiskiem, którego ewentualny brak nie spowodowałby najmniejszej zmiany w funkcjach psychologicznych. Człowiek, zwierzę zbiorowe, jak mrówki i pszczoły, kanonizował mianem moralności to wszystko, co na różnych stopniach kultury zapewniało utrzymanie ładu społecznego w obrębie szczepu lub społeczności, i pozwolił jednostce cieszyć się możliwie spokojnie swem przeznaczeniem, ograniczonem do tego skończonego życia: stąd odpowiedni system pedagogiczny, wprowadzający do obyczajów pożyteczne przepisy karności, solidarności, obowiązkowości, oraz wprowadzenie sankcyj karnych, przeciw tym, którzy przepisów nie przestrzegają.

Ta koncepcja pozytywistyczna, lub bezwzględnie deterministyczna, wykluczająca całkowicie wszelką metafizykę, a stąd też wszelkie zainteresowanie duchowe, ma pozory logiczne i spoiste; wielu umysłom faktycznie łatwiej jest uznać nieskończoność czasu i przestrzeni i wieczność świata bez początku ni końca, aniżeli wyobrazić sobie chwilę, w której wszechświat i czas zaczęłyby się od zera, i drugą chwilę, w której, po dokonaniu się przeznaczenia, zaszedłby koniec ich istnienia. W swej nietscheańskiej bezwzględności i przyjęciu ostatecznego nihilizmu, system ten ma w sobie nawet pewne ponure piękno; jest on u podstawy prawie wszystkich naszych idej i organizacyj społecznych, zaledwie przesłonięty sceptycznym agnostycyzmem, i wszystkie nauki są nim głęboko przesiąknięte.

A przecież człowiek ma niepokonalne poczucie, że rzęczywistość namacalna jak i rzeczywistość wypracowana przez doświadczenie*), nie stanowią całej rzeczywistości, i że poza tym ekranem fizycznym jest jeszcze coś innego. Człowiekowi przerażonemu swem osamotnieniem w świecie ignorującym go i ponurą grozą zaginięcia swojego „ja", przejętemu też szlachetną i nienasyconą ciekawością, nie wystarcza poznanie zjawisk i wzajemnych ich stosunków, czyli poznanie stanu rzeczy; pragnie on rozumieć i tłumaczyć naturę, czyli przeniknąć, dlaczego tak jest: lecz nauka, zwiększająca bezustannie jego władzę nad światem, nie uśmierza ani jego pragnienia sprawiedliwości, ani jego żądzy pewności, ani nawet jego potrzeby poznania, gdyż stawia człowieka przed coraz to nowemi tajemnicami; daremne są jego wysiłki, prześladuje go niepokój metafizyczny.

Lecz niepokój ten, czyż nie jest on zwodniczem, niepotrzebnem złudzeniem, autosugestją wytworzoną w nas odziedziczonemi po przodkach strachami, lub niedość pozytywistycznem wychowaniem? Oto wielkie, najistotniejsze, jedynie interesujące na świecie pytanie. Jest to przedmiot ogromny, niezrównanej doniosłości, gdyż zależnie od odpowiedzi, którą przyjmiemy, nasza koncepcja o przyrodzie, nasze pojęcia o naszem przeznaczeniu, całe nasze życie duchowe będą zasadniczo odmienne. Raz jeszcze, czyż metafizyka jest częścią rzeczywistości, mniej lub więcej dającą się przeniknąć rozumem, czy też jest ona zgoła niczem? Aby uniemożliwić powoływanie się na wpływy dziedziczności lub wychowania, nie zwrócę się po odpowiedź do człowieka, lecz będę jej szukał poza nim, w biologji, i pragnę tutaj przemawiać tylko jako biolog. Rozpatrzę kolejno trzy punkty.

Punkt pierwszy. Pierwsza trudność, która się ukazuje w pozywistycznej interpretacji świata, dotyczy samego życia; gdy się analizuje funkcjonowanie żywej istoty, napotykamy zapewne zdeterminowanych faktów fizyko-chemicznych bez liku, lecz całość życia stanowi zjawisko tak osobliwe w swej skłonności zdobywania coraz więcej przestrzeni i materji, ze swym nieprzerwanym, bezpowrotnym biegiem, że niema wątpliwości, iż to co żyje, jest oddzielone od nie-żyjącego przepaścią nieprzekraczalną, nie w tem co dotyczy materjału, lecz przez sposób, w który jest zorganizowane

---

*) Naprzykład: molekuły, atomy, jony, elektrony fizyków, czynniki dziedziczności biologów.

i jakby kierowane. Faktycznie, nie znamy żadnego łącznika między jednem a drugiem, i nawet wyobrazić sobie nie można, by łącznik taki istniał; nawet na ostatecznym krańcu, wśród tego, co zwiemy wirusami, żyjątkami niemal płynnemi, przechodzącemi przez filtry, cechy życia zdobywczego dają się odszukać z równą prawie łatwością jak u roślin. lub u wyższych zwierząt. Jest więc nie do uwierzenia, by pierwsza żyjąca istota była wynikiem przypadkowego związku chemicznego, dzieckiem krótkofalowych promieni pozafiołkowych, — jak mówi J. Duclaux — kombinacją, któraby się była raz tylko zdarzyła wśród rzadkich okoliczności, których zestawienie się już nigdy więcej się nie powtórzyło; uważam za rzecz pewną, że gdyby się udało odtworzyć połączenie chemiczne, podobne do tego, które posiadają żyjątka pierwotne, co może nie jest niemożliwem, byłoby ono martwe, a nie żywe; brakowałoby tej iskry, zwanej życiem, którą tylko żywe istoty przekazują istotom żywym, jak to wyraża piękny obraz Lukrecjusza: *Et quasi cursores vitae lampada tradunt.* (*De Natura Rerum* II, 79).

Trzeba nam uznać, że życie jest czemś transcendentnem wobec materji martwej; a chociaż nie może się objawiać inaczej, jak tylko na podłożu materjalnem, z wszystkiemi jego fizykalno-chemicznemi własnościami, to jest ono czemś stojącem poza temi własnościami, które porządkuje i przewyższa; innemi słowy, jest ono pierwiastkiem od materji odmiennym. A więc, chyba że jesteśmy wyznawcami pan-spermizmu, co jest tylko beznadziejną próbą odsuwania trudności, lecz tylko odsuwania, musimy uznać, że życie na ziemi miało początek absolutny.

Pierwsza grudka żyjąca w danych nam warunkach wszechświata, zawierała w sobie z konieczności potencjalnie wszystkie niezliczone formy życia, które od chwili pojawienia się jej następowały po sobie, tak najdrobniejsze mikroby jak i olbrzymy morskie i leśne, bezmyślne rośliny jak i byty najinteligentniejsze; zawierała je, skoro się pojawiły. Jest to odwiecznie zakreślony porządek rzeczy, który ma sens, jeżeli się w stworzeniu życia przyjmie interwencję metafizyczną, a nie jest do pojęcia w obrębie żadnej innej hipotezy.

Punkt drugi. Pierwszy człowiek, który chciał rozbić twardy przedmiot, musiał się posługiwać nieociosanym kamieniem, trzymanym bezpośrednio w ręku; później zapewne, znalazłszy przedziurawiony kamień, dorobił do niego rękojeść, osadziwszy go na odpowiedniej wielkości kiju; to czyniąc *sporządził narzędzie*, czyli związek części, których zestawienie nie może być skutkiem przypadkowego połączenia się, lecz jest wynikiem zamiaru, skierowanego do pożytecznego celu. Innemi słowy, narzędzie ma cel zamierzony, wskazujący na istnienie umysłu zdolnego do abstrakcji i do sformułowania sądu. Człowiek, *Homo faber*, dlatego, że *homo sapiens*, jest zresztą jedynem zwierzęciem, sporządzającem narzędzia.

Otóż, zwierzęta dają nam niezliczone przykłady narządów, odpowiadających ściśle naszym narzędziom i odpowiadającym pożytecznemu celowi, tylko że rozwiązanie tego zagadnienia w przyrodzie różni się od rozwiązania, które wypracuje rzemieślnik, przez większą tego narzędzia doskonałość, giętkość, trwałość, elegancję i bogactwo szczegółów. Zwierzę zna kilof, łopatę, piłę, pilnik, szczypce instrumenta muzyczne, narzędzia ssące, strzałę, kotwicę,

wiosło, sieć, grzebień, szczotkę, baterję elektryczną, spadochron, dzwon nurka, aparaty świetlne, przyrządy kierownicze, gazy trujące i t. d. Powoływanie się, w zagadnieniu powstania tych narządów na przyczyny naturalne, z pewnością istniejące, wcale nie wyczerpuje stawianego przez nie problemu; w sporządzaniu młotka zachodzą również przyczyny naturalne, i determinizmy mechaniczne, lecz to w niczem nie zmniejsza konieczności ciągłego świadomego kierowania ze strony robotnika, czyli konieczności *przyczyny celowej.*

Trzeba przyznać, że naturalne nawet przyczyny, któreby dały wytłumaczenie rozwoju organów-narzędzi, były przedmiotem daremnych poszukiwań wielkich teoretyków.

Lamarck*) wierzył, że organ jeszcze niedorozwinięty, można doskonalić przez używanie go; jak gdyby przez długotrwałe posługiwanie się zwykłym kamieniem jako młotem, przekształcał się ów kamień z biegiem czasu w doskonałe narzędzie. Bergson (*Évolution créatrice),* słusznie zauważył, że byłoby to przypisywaniem, bez żadnych dowodów, materji mocy twórczej, by reagowała na prostą podnietę, budowaniem skomplikowanych maszyn.

Darwin twierdził, że narzędzia zwierzęce formowały się powoli przez kolejne dodawanie przypadkowych zmian, a każde dodanie byłoby postępem w stosunku do poprzedniego stanu; przyczem giną jednostki najmniej odporne i najmniej rozwinięte, ulegając w walce o byt. Wiadomo, z jak nadzwyczajnem powodzeniem spotkała się ta pomysłowa teorja o selekcji najzdatniejszych; tłumaczyła ona choć powierzchownie pozory świadomej celowości, wprowadzające biologistów w niemałe zakłopotanie; dziś jednak, dla różnych przyczyn, teorji tej się już nie przyjmuje. W poszczególnym wypadku narzędzia u zwierzęcia, niedopuszczalnem jest, aby przypadki, mogły przez sumowanie się zbudować organ, który tylko wtedy ma żywotne znaczenie, gdy jest doskonale rozwinięty; nawet gdyby selekcja odgrywała jakąś rolę, nie mogłaby ona działać na stany poprzedzające koniec, do przygotowania którego nie miałyby te poprzednie stopnie rozwoju żadnej racji. Czuł to dobrze Darwin, który mawiał, że problem genezy oka przyprawia go o gorączkę.

Znamy, naprzykład rybę morską*), żyjącą w bardzo wielkich głębiach, zupełnie ciemnych, która nosi na głowie prawdziwy przyrząd do rybołowstwa. Przyrząd ten składa się z nieruchomego pręta, zakończonego sztywnem włóknem, zaopatrzonem na wolnym swym końcu w małą świetlaną kulę, i kilka małych haczyków; prawdopodobnie, przynęcone światłem drobne rybki łowią się na te haczyki i stają się ofiarą właściciela przyrządu. Czyż możliwem jest wystawić sobie serję przypadkowych zmian, któreby się w takim porządku uszeregowały, by mogły utworzyć podobny organ? lub serję zmian potrzebnych do zbudowania ptasiego oka, tego wspaniałego narzędzia optycznego? lub też zadziwiającej baterji elektrycznej w jaką zaopatrzona jest strętwa?

---

*) Wyraża to znany aforyzm Lamarck'a, że funkcja wytwarza organ.

*) Ryba z gatunku *Lasiognathus saccostomus,* długości 5—7 cm. opisana przez Tate Regan'a w „Nature", (Londyn. 27. XII. 1927 r., str. 775).

Aby wytłumaczyć widoczny zamiar, napotykany na każdym kroku w organizmach, musimy nieodzownie uznać, że oprócz przyczyn skutecznych, będących przedmiotem badania naukowego, jest w naturze czynnik natury metafizycznej, kierujący owemi zmianami ku pożytecznemu celowi, podobnie jak robotnik sporządzeniem młotka; możnaby go nazwać *czynnikiem ortogenetycznym**). Rzecz to osobliwa — pozytywiści lubią mówić, że istota żyjąca jest fizyczno-chemiczną *maszyną*; otóż czem jest maszyna? Jest to myśl, wprowadzona w czyn; maszyna przemysłowa jest siłą rzeczy stworzona i kierowana przez świadomą inteligencję; dlaczego maszyna żywa, o budowie nieskończenie bardziej zawiłej, nie zawierałaby w sobie również konieczności organizatorskiego ducha.

Ten czynnik metafizyczny, kierujący ortogenezą, nie jest też pozbawiony związku z *entelechią* Driesch'a, ani *pędem życiowym* Bergsona. To porównanie, dla mnie zaszczytne, dowodzi, że różnemi drogami dochodzi się do analogicznej konkluzji, która musi odpowiadać jakiejś części rzeczywistości. Można się spotkać w dziedzinie prawdy, nigdy w dziedzinie błędu.

Punkt trzeci. Przejście od drobnego szczegółu do punktu widzenia bardzo ogólnego, doprowadzi nas do podobnego wniosku. Przyznaję, że świat obecny, w swej całości jak i w najdrobniejszych swych szczegółach, począwszy od składu słońca, aż do budowy włoska mikroskopijnego owadu, od najwyższej myśli artysty, aż do kształtu okrągłego kamyczka, był potencjalnie zawarty w mgławicy, z której wyłoniła się ziemia. Rozumie się, że w koncepcji deterministycznej sama już budowa mgławicy była przypadkowa, i, gdyby niektóre z jej atomów byłyby się cokolwiek inaczej ułożyły, świat obecny nie istniałby wcale, lub byłby innym. Otóż wszechświat w swojej całości jest ogromną maszyną, gdyż wszystko się łączy i jest w stosunku do siebie uporządkowane; maszyna ta trwa od miljardów tysiącleci i trwać jeszcze będzie miljony wieków; trwa — to znaczy, że następujący po sobie tok przyczyn i skutków, nigdy i w żadnej chwili nie doprowadził do załamania porządku i do rozbicia spójności i nie spowodował zatrzymania się maszyny, co równałoby się dla nas ustaniu wszelkiego życia. Przeciwnie, wszystko się tak odbywa, jak gdyby w rozwoju świata fizycznego był sens, pochód równomierny ku organicznemu i psychicznemu postępowi.

Planety, słońce, gwiazdy krążą bez zderzeń swemi skomplikowanemi i niezachwianemi orbitami; na ziemi, o ruchliwem obliczu, nowe oceany nie przestają uderzać o ulegające wielokrotnym przekształceniom wybrzeża, świat zwierzęcy i roślinny zachowuje równowagę pomimo zmian klimatów i znacznych odmian w dominujących gatunkach; w swym ślepym twórczym szale przyroda nie przestaje mamić jednostki żądzą i złudzeniami miłości i za pomocą tysiąca pomysłowych wybiegów zapewnia trwanie nieustającej walki, która stanowi życie; przyroda stwarza piękno kwiatów i motyli, cudowność instynktów skomplikowanych, jak zdolności matematyczne pszczół.

---

*) Ortogeneza jest ewolucją, której kolejne stopnie, uszeregowane chronologją geologiczną, oznaczają regularną progresję lub regresję, w kierunku, który wydaje się zdeterminowanym od samego początku: rozwój kopyt i rogów w okresie trzeciorzędu należy do typów ortogenetycznych.

okazałe potwory i jestestwa niewidzialne; a wreszcie, u szczytu wspaniałego, tysiąckrotnie rozgałęzionego drzewa ewolucyjnego, pojawia się, jako ostateczne zakończenie człowiek świadomy, okrutny pan ziemi, która została jakby dla niego przygotowana, i z której on bezustannie czerpie korzyści.

Wszechświat więc istnieje i trwa; wszystko się zmienia, lecz pomimo zła fizycznego i moralnego, we wszystkiem panuje ład i związek. Fakt trwania w ładzie i powszechnej ewolucji wydaje mi się cudem cudów.

Jeżeli stan wszechświata, w jakiejkolwiek chwili, jest wynikiem niekoniecznego układu atomów pierwotnej mgławicy, niemożliwem jest, by układ ten zawsze doprowadzał do czegoś spoistego, prawidłowego, mającego związek, choć zmieniającego się bezustannie. Tak mało byłoby trzeba, by łączność między słońcem, powietrzem, wodą, ziemią, rośliną, zwierzęciem, człowiekiem została zerwana i by się wszystko w nieopisanym chaosie zawaliło! Wyobraźmy sobie ogromny stos czcionek drukarskich i że nieobznajomiony z niemi ślepiec układa je rzędem; istnieje niesłychanie mały stopień prawdopodobieństwa, aby z tego przypadkowego doboru wynikł poemat jak *Iljada.* Otóż, ustrój wszechświata jest nieskończenie bardziej skomplikowany niż Iljada; prawdopodobieństwo szczęśliwego jego ukształtowania, wychodząc z przypadkowego ułożenia się atomów, równa się zeru. A przecież, to nieprawdopodobne, niemożliwe, nie do pomyślenia — urzeczywistniło się! Udatne ukształtowanie się świata było możliwe, skoro się dokonało; istniał więc w pierwotnej mgławicy *z góry zakreślony plan,* tak samo jak jest przewidziany porządek w stosie czcionek drukarskich, skoro istnieją wszystkie potrzebne litery.

Nie można uniknąć sprzeczności i nie można zdać sprawy z faktu porządku rzeczy z góry świadomie ułożonego, inaczej, jak tylko wychodząc poza rzeczywistość pozytywną i przyjmując interwencję metafizyczną, istnienie Myśli, której Czynem jest wszechświat; trzeba nam wówczas uważać wszechświatową ewolucję za skutek Woli nieskończenie nas przerastającej, która, nadając światu absolutny początek, nadała mu ruch i która Swemi drogami kieruje nim przez działanie przyczyn skutecznych czyli drugorzędnych.

Przez obserwację prawdopodobieństw możemy zdobyć pewność, że nasz niepokój metafizyczny nie jest próżnem złudzeniem, i że jest druga rzeczywistość poza tą, której się dotykamy bezpośrednio lub przez wnioskowanie. Uczony zaś, nie może za pomocą własnych swych metod, posunąć się dalej w poszukiwaniu Absolutu.

Człowiek, jak nowy Prometeusz, olśniony jeszcze, że śmiał zbliżyć się do Niepoznawalnego, i przerażony swą zuchwałością, staje się z powrotem świadomy swej znikomości, i nic innego mu nie pozostaje, jak ukorzyć się przed tajemnicą świata i jego przeznaczenia. Lecz, zapewniony przynajmniej o rzeczywistości świata niematerjalnego, rozumie on lepiej swą nieugaszoną żądzę poznania i zbadania wszystkiego, pojmuje lepiej swą palącą tęsknotę za rajem, wolnym od cierpienia, śmierci i czasu, i z pogodą oczekuje bliskiego dnia, w którym, oddawszy swe ciało z powrotem na łono natury, stanie twarzą w twarz wobec wiecznej Prawdy.

L. L.

Za pozwoleniem Władzy Diecezjalnej.

Red. odp. i Wyd.: Zofja Włodkowa, Kraków, Pędzichów-boczna 5.